TEATR LIZBOŃSKI.

Portugalia właściwie nigdy zupełnéj nie posiadała literatury; jedyne imię Komoensa wyczerpało już tam sztukę i poezyą; sława jego wzbudzając poszanowanie uświetnia przeszłość, i stawia go w równi z Tassem, Ariostem i Miltonem. Luzyada jest świętém palladium Portugalii. Szczyci się ona swoim wieszczem jako najszlachetniejszym ze swych synów, i dzieło jego miłością i pychą otacza. Cześć i podziwienie wieków następnych, zdają się chcieć wynagrodzić zmarłemu Komoensowi cierpienia poniesione za życia, podobnie jak tylu innym niegdyś niepoznanym geniuszom; bo najwięksi, najszlachetniejsi poeci bratem go nazwali, a żaden ze współziomków nie pokusił się nawet dotąd zrzucić go ze szczytu na który potomność go wzniosła.

Sztuka dramatyczna cierpi bardzo na tym braku pisarzy i zupełném ubóstwie literatury. Teatr wymaga przedewszystkiém prawdy, a Portugalczykom całkiem zbywa na znajomości serca i umysłu ludzkiego. Terazniejszy portugalski teatr, na którym dotąd jedynie narodowego używają języka, jest miejscem zgromadzenia klass niższych, lub przynajmniéj dziwnéj mieszaniny towarzystwa. Nędzne sztuki odgrywane są przed publicznością, niemogącą ani je ocenić, ani najmniejszego dać o nich zdania. Sam dyrektor bardzo małą cenę do krajowych dzieł przywiązuje, i przekłada nad nie każdą paryzką dramę lub wodewil na portugalski język przełożone. Niedawno dał poznać ziomkom swoim *Angelo Malipieri* Wiktora Hugo, i krotochwilę *Prosper et Vincent*.

Szarlatanizm francuzkich prowincyonalnych teatrów znika przed szarlatanizmem, jaki w tym względzie teatr lizboński przedstawia. Sam już afisz przewyższa wszelkie dziennikarskie przechwałki. Nieraz zdarza się widzieć na nim przesadzone objaśnienie sztuki, mającéj być przedstawioną, w tych prawie szumnych wyrazach:

„Dziś piérwszy raz przedstawiona będzie: *Angelo*, wielkie drama szeroko-głośnego Wiktora Hugo, które największy podziw i uwielbienie wzbudziło we wszystkich miastach europejskich; (tu następuje rozbiór sztuki). Po niéj nastąpi, także piérwszy raz: *Prosper i Wincenty*, najrozkoszniejsza sztuka, wyobrażająca zadziwiające podobieństwo dwojga bliźniąt. Nie można sobie wyobrazić nic śmieszniejszego, bardziéj bawiącego (tu znowu następuje treść wodewilu Duwerta)....” i tak daléj następnie.

Przyznać jednakże należy, iż teatr portugalski od niejakiego czasu wznosić się zaczyna. Przyłożyło się do tego najbardziéj sprowadzenie francuzkiéj trupy do Lizbony.

Widząc niegodziwie utrzymywane wejście do francuzkiego teatru, ani podobna byłoby odgadnąć, że jest właśnie schadzką najlepszego lizbońskiego towarzystwa. Sala jest mała, ciemna i ciasna, a kurytarze, na których wolno każdemu tytuń palić, szeroko wyziéwają bynajmniéj nie arystokratyczną wonią. Tłum jednakże najbardziéj się tutaj ciśnie, i każda zamożniejsza portugalska rodzina ma własną lożę, za którą rocznie 1,800 franków płacić musi.

Niezbyt dawno, sama królowa Dona Marya zaabonowała lożę we francuzkim teatrze. Z największą wytrwałością bywa obecna wszystkim przedstawieniom, i zdaje się szczególniéj zajmować patetyczną grą panny Charton w tragedyach; i wodewil zarówno jéj się podoba. Celujący komik Charlet najbardziéj łaskę jéj pozyskał; nieraz nawet raczy zadowolenie swoje głośnym okazywać śmiéchem.

Portugalska publiczność jest w ogólności zimna i umiarkowana. Rzadko kiedy daje poklaski lub wygwizduje; zwyczaj klaskania w dłonie, co się we Francyi tak bardzo upowszechnił, w Lizbonie prawie całkiem jest nieznanym. Mimo tego i tutaj mają sposób objawiać pomyślne przyjęcie lub upadek sztuki, i to najprostszym sposobem. Jeśli publiczność milczy, sztuka nie podobała się; gdy śmieje się lub płacze, powodzenie jéj ustaloném zostało. Zwyczaj ten za-

pewne niełatwo upowszechnić się zdoła po francuzkich teatrach, chociaż wrzask i hałas wyroczni, zwanéj *parterem*, tak bardzo sprzeczne są uprzejméj dworności, z jakowéj Francuzi szczycić się zwykli, a któréj uchybienie mniéj niz gdziekolwiek indziéj przebaczoném być może.

Publiczność teatru *San Carlo* jest taż sama co i w teatrze francuzkim. Sala zbudowana w szlachetnym i powabnym stylu, świéżo przyozdobioną została, ale niestety! w najnieszczęśliwszym guście. Pragnąc wszystko robić na skalę jak tylko można największą, powierzono jéj upięknienie panu Simon wspólnikowi pana Maurice w Paryżu. Ten całą salę powlókł ciemno-błękitnym papiérem, w złote dessenie, co dziwnie ponury i smutny widok sprawia.

Norma Belliniego ciągle przyjmowana jest w Lizbonie z zadowoleniem. Pani Mathei, która tak świetnie we Włoszech zawód swój rozpoczęła, coraz większą sławę zjednywa sobie w Portugalii, i z rzadką zdolnością oddaje główną rolę téj opery. Lecz nieszczęściem codzień niebezpieczniejszą nabywa rywalkę, w signorze Brighantini; ta obdarzona pełnym duszy, melodyjnym głosem, wszystkie w sercach obudzać umié namiętności, i najtrudniejsze miejsca z niezwykłą oddawać mocą. Dlaczegoż niebiosa obdarzyły signorę Brighantini tak niesłychanie wielkiemi usty? Bezdenna ta przepaść, koniecznie podczas śpiéwu otwarta, tak bardzo przeraziła niektóre osoby draźliwsze mające nerwy, iż z tém większém podziwieniem i miłością wróciły do powabnéj Mathei, im większą zgrozę obudziła w nich jéj współzawodniczka. Lecz nie będziemy głębszych czynić poszukiwań za kulissami włoskiego teatru; zresztą, małobyśmy tam znaleźli indywiduów na większą uwagę zasługujących, wyjąwszy jednego signor Maggiaroti, odgrywającego, jak tylko może najlepiéj, role Lablasza. Niesłychanie ogromna i ciężka małżonka jego tańczy w balecie, i uporczywie obstaje przedstawiać Sylfidę. Wszystkie prawie balety są układu Vestrisa, syna. Rodzaj ten zabawy wielce cenionym jest

w Lizbonie, a berło tańca spoczywa tam w delikatnych ręku francuzki, panny Noblet, któréj samo imię najlepszą jest wziętości jego rękojmią.

Lecz wróćmy do włoskiéj opery. Portugalia, prawdziwy kantor wexlarski dla żeglugi; Portugalia, co najzawilsze handlowe i przemysłowe kwestye rozwiązywać umié; co w swéj przychylności Waskowi di Gamo nad samymże Komoensem pierwszeństwo nadaje: zarówno uboga jest w muzykalne płody jak i literaturę. Czerpa muzykalne przyjemności z Włoch, podobnie jak z Francyi dramatyczne zabawy. Teatra *San Carlo* i *della Scala* sprowadzają najświéższe partytury, o ile zgodne są z geniuszem i gustem Belliniego, gdyż Bellini jest najulubieńszém dziécięciem Lizbony.

Każde zjawienie się Normy całe miasto w zachwycenie wprawia, i ani wątpić można, że skoro tylko ogłoszoną zostanie: *Beatrice di Tenda*, jedna z piérwszych oper tego kompozytora, jeszcze większy obudzi zapał i gwałtowniéj przyciągającą wywrzéć władzę, niżeli wszystkie inne kawatiny i kaballety, owego tak wielce cenionego mistrza. Rossini nie bardzo zdaje się być w modzie; wesoły *Cyrulik sewilski*, zaledwo salę napełnić zdoła, a wielka, groźna królowa Babilonu: *Semiramis*, co w Paryżu, owym Babilonie nowożytnego świata, tylokrotnie skronie panny Sonntag i Grisi laurami zwieńczyła, nie budzi w Lizbonie ani zajęcia ani zapału. Lecz zato dyrekcya daje jak najstaranniéj *Klarę Rosenberg* Donizettego, i *Elisir d'Amore*, słabe naśladowanie *Miłosnego napoju* Aubera, do którego muzykę dorobił jakiś artysta mający nazwisko stosownie do powszechnego upodobania na *i* zakończone; oraz *I Normani in Parigi* Mercandanta, aby listę czémciś godniejszém uzupełnić.

Mówiąc o lizbońskim teatrze, ani podobna przepomnieć towarzyskiego teatru, którego eleganckie i powabne uroczystości kiedy niekiedy urozmaicają zabawy portugalskiéj arystokracyi. Pałac hrabiego Farrabo, barona Quintella, godny jest stanąć w równi z pałacem Castellane. Podobni ludzie jak hrabia Fer-

rabo są wprawdzie bardzo rzadcy. Sztuka, wygnana z właściwéj swojéj świątyni, zmuszona jest szukać gościnności gdziekolwiek znaleźć ją zdoła. Nazbyt jeszcze szczęśliwa, jeśli uprzejmy gospodarz co ją przyjmuje, jest człowiekiem pełnym talentu i gustu. Hrabia Farrabo wszystko to w sobie połącza, i więcéj jeszcze. Do szaleństwa lubi muzykę, a dom jego przedstawia pewien rodzaj orkiestry w ciągłym ruchu, gdzie wszystko podług taktu i w najzupełniejszéj harmonii odbywać się musi. Wspaniały hrabia utworzył u siebie prawdziwie wokalną i instrumentalną rzeczpospolitą. Oddaliłby każdego służącego, gdyby jakową zdolnością muzyczną nie potrafił udowodnić swéj pożyteczności. Nie szczędzi największych kosztów aby uświetnić dramatyczne reprezentacye, na które z takowém upodobaniem najlepsze ciśnie się towarzystwo. Teatr włoski, który jedynie od niego pobiéra zapomogę w summie trzydziestu *contos de reis*,—gdy tymczasem wszystkie inne, niewiadomo dla czego, żadnego *Cruzados* nie otrzymują,—daleki jest bardzo aby mógł się poszczycić tak dobrze dobranym repertoarem, jak teatr pałacu Farrabo. Niezbyt dawno przedstawiono tam nawet operę: *Olivo i Pasksale*, któréj partytura z pośpiechem przez Donizettego napisana, nie wyrównywa bynajmniéj *Annie Boleyn*, a nawet i *Marino Fallieremu*, tegoż artysty.

ŻYCIE LUDZKIE.

Teatralna krytyka

Życie ludzkie jest właściwie gatunkiem tragi-komedyi. Rozważone podług prawideł sztuki, dalekiém bardzo jest od arcy-dzieła, ale przynajmniéj jest dziełem oryginalném. Ma w sobie bardzo wiele ustępów, ale wszystkie są ze saméjże sztuki czerpane. Jak na sztukę zdaje się wprawdzie nieco przydługie, ale wi-

dziane przy świetle jest rozpacznie krótkie i zaledwie jeden wieczór zapełnić zdoła. Największym jego błędem dramatycznym jest że właściwie nie ma przewidzianego i ustalonego zakończenia, i ten prawie zawsze improwizowanym być musi. Lecz to najgorsza że sztuka źle bywa odegraną, i uprzedzoném, stronniczém okiem jest widziana, gdyż aktorowie są zarazem widzami, a widzowie aktorami, a przypatrywanie się sztuce do saméjże gry należy. Orkiestra jest przelotną; każdy sam komponuje i wykonywa; kapelmajster ciągle jest oczekiwanym, lecz się prawie nigdy nie ukazuje; los takt wybija, a śmierć robi pauzy. Muzyka jest nieco jednotonną: składa się bowiem z samych prawie dętych instrumentów, a każdy dmie jak tylko najlepiéj może dopóki mu tchu stanie; a na nieszczęście wszyscy muzykanci bardzo krótki dech mają. W saméjże sztuce najwięcéj aktorów gra dla samego tylko effektu; wystawienie wiele na tém cierpi. Krytyka jest ladajaka, gdyż aktorowie sami dają zdanie; ci, coby prawdziwie może umieli krytykować, dosyć mają kłopotu z własną rolą, aby myśléć mogli o krytyce. Niektórzy za mocny mają akcent; dla tego téż zawcześnie głosu im nie raz zabraknie. Zresztą, teatr świata, na którym się sztuka odgrywa, jest na nieszczęście wcale nie akustycznie zbudowany; długo trzeba miejsca szukać, z któregoby można cośkolwiek dosłyszéć i zrozumiéć. Aktorowie nie umieją dobrze ról na pamięć; sufler *Rozsądek*, siedzi przy cienkiéj i dopalającéj się świéczce; nieraz ani jednéj syllaby nie może rozróżnić, i grających w okropnéj pozostawia wątpliwości. Światło bijące z góry bardzo jest skąpe, niekiedy cała scena w zupełnéj zostaje ciemności, a na widowni świata tak trudno zrozumiéć aktora, kiedy oblicza jego nie widzimy; dla tego téż tak mało pojmujemy wiecznie rozlegający się głos umarłych — głos Przeszłości. Światło najczęściéj na jeden punkt jest skierowane; bohatérowie sztuki często stają w cieniu, a ci, dla których ciemność byłaby korzystniejszą, jasnym blaskiem są oświéceni. — Tak się odbywa komiczna tra-

gedya ludzkiego życia; nic dobrego gustu nie pociesza, tylko pewność, że sztuka przy końcu wygwizdaną zostanie. I tak się zwykle staje; koścista śmierć zwykle sztukę wygwizduje. Nieszczęśliwie wyrachowaném oświéceniem teatru, światowa dekoracya znika ze swoją sztuczną perspektywą, zamyka się stare sześciu-tysięczne gniazdo dziejów; zaduszająca fidybusowa woń, oznacza upadek tlejącéj ziemi. Niewierni poeci i wierszokleci, pozostawiają piękność tak często opiéwaną na nędzném jéj śmiertelném łożu; tylko stara zbiéraczka antyków, *Historya świata*, schyla się ponad zgliszczem, i pomiędzy milionem fałszywych błyskotek, które ogień do piérwotnego powrócił pyłu, szuka tu i owdzie kawałka szczérozłotego galonu, nad którym kiedyś potomność łamać sobie głowę będzie.

DAŻA
czyli
BAJADERY INDYJSKIE.

Powieść Eugeniusza Sue.

I.

Przed ośmnasto miesiącami znajdowałem się w Indyach. Admirał *** powierzył mi ważne bardzo zlecenie do..., do Wisagapatnam. Wyjechałem z Madres, spełniłem moje polecenie, i wracałem... Już byłem tylko o piętnaście mil od tego miasta, gdy przypadek zdarzony jednemu z ludzi niosących mój palankin, przymusił mnie zatrzymać się w wiosce, zwanej Tschina—Marklong (znowu za dzikie miano przepraszam); lecz w Indyach Wschodnich innych nie znajdzie.

„Miałem przy sobie jednego z mych oficerów, nieoszacowanego człowieka, nazwiskiem Duclos; jedno

tylko miał wadę: tojest że lubił wiedzieć z rana co będzie przez dzień cały robił, i niewypowiedzianie rozpaczał gdy nieprzewidziany jakowy wypadek układy jego pomięszał.

„W braku nieprzewidzianych wypadków, ja zwykle brałem na siebie połamać wszystkie jego szyki, bo mnie nic tak nie bawiło jak jego gniéw i narzekania. Wszakże w podróży trzeba się przecie czémkolwiek rozerwać.

„Pan Duclos, nalamentowawszy się dosyć nad zwłoką zatrzymującą nas w karawanseraju tej wioski, rzekł nakoniec do mnie:—Otóż przecie jesteśmy do jutra spokojni...., i cóż będziemy robić? Lubię wiedzieć na co mogę z pewnością rachować, (było to zwyczajne jego przysłowie).

„I cóż mamy lepszego robić, jak zjeść wieczerzę, potém się położyć, i spać, jeśli nam muskity pozwolą.

„Otóżto tak! odpowiedział nieoszacowany Duclos, bo ja zawsze lubię wiedzieć na co mogę z pewnością rachować.... Pójdę więc przejść się po tém ryżowém polu, oczekując wieczerzy; to mi doda apetytu i do smacznego snu usposobi.

„Poszedł, a ja przyobiecałem sobie, że będzie wieczerzał i spał jak tylko najmniéj będzie można.

„Karawanseraj napełniał się podróżnymi. Wkrótce zwiększyła nasze towarzystwo trupa daatcheriów, czyli tańczących bajader, które miały ze sobą muzykę.

„Gdy bajadery podług religijnego przykazu, zalecającego codziennie dwa oczyszczenia, skąpały się w stawie, Bidda, czyli przywodzicielka trupy, przyszła mi złożyć swoje uszanowanie, podając bukiet kwiatów, i prosząc o pozwolenie, w imieniu towarzystwa, tańczenia przede mną.

„Prożba ta przybywała mi właśnie w pomoc jak gdyby z nieba. Postanowiłem, iż zamiast jeść wieczerzę, położyć się i spać, nieszczęśliwy, lub raczéj szczęśliwy Duclos nie będzie wieczerzał, i przepędzi całą noc na balu.

„Odpowiedziałem więc Biddzie, że z największém ukontentowaniem ujrzę tańczącą jéj trupę, lecz że musi poczekać na przybycie mego towarzysza.

„Zaledwie dałem poznać moje życzenie, wszyscy przytomni wyrazili swoję radość głośnemi wykrzykami *Nela dore! Maaradjha!* tojest wielki książę, szlachetny pan.

„Poustawiano więc małe gliniane lampki, w niżach, na ten koniec urządzonych w murze karawanseraju; rozkazałem moim ludziom naścinać jak najwięcéj mangustanowych i tamarynowych gałęzi, postawiać je w około ścian, usypać podłogę wonnemi liściami. Kazałem przynieść poduszkę z mego palankinu, która mi posłużyła za sofę; wierny Fryderyk zrobił mi wyśmienity bol ponczu.... Zapaliłem moje huka, i czekałem na Duclosa....

„Śmiałem się, widząc zadziwioną, głupowatą minę biédaka na widok tak licznego zgromadzenia, téj zieloności rzęsisto lampami oświéconéj, słowem tego uroczystego pozoru, zdawającego się zapowiadać fatalną jakąś przeszkodę dla jego snu i wieczerzy.

„Przecisnął się przez tłum, i zbliżając do mnie:

— Jakto! — rzekł — to więc dzisiaj nie będziemy wieczerzać? A to nie do wytrzymania! z panem jak widzę na nic pewnego rachować nie można... Raz jeszcze pytam.... czy nie będziemy wieczerzać?

— Bynajmniéj, kochany panie Duclos..., wszakże jesteśmy na balu.... I aby go lepiéj o tém upewnić, rozkazałem dozorcy kurlisów przyprowadzić bajadery.

— Na balu, na balu!..., i dla czegóż pan pozwolił mi rachować na wieczerzę i smaczne wyspanie? Ja się względnie do tego usposobiłem, aż tutaj znowu co innego....

— Bo to niespodziéwanka, kochany Duclos.

— Ależ, mój Boże, ja właśnie najbardziéj niecierpię tych niespodziéwanek; to niespodziewanka!!...

— To więc nigdy żona nie winszowała ci imienin wieńcami kwiatów i wystrzałami z pitard? jakto, nigdy, kochany panie Duclos?...

— Jużci że winszowała... — odpowiedział, — ale wieńce pletliśmy oboje tydzień naprzód, a petardy sam zapalałem.

— No, wypijmy szklaneczkę ponczu za zdrowie pani Duclos, która ci nigdy nie robiła przyjemnych niespodziéwanek....

— Bardzo Panu dziękuje.—Kiedy się spodziéwam pić poncz, to piję poncz; kiedy się spodziéwam jeść wieczerzę, to jém wieczerzę; — a jeśli nie jém wieczerzy, to przynajmniéj nie piję ponczu, — odpowiedział mocno urażony.

„W istocie był w rozpaczy; bo nieoceniony ten człowiek tak dalecé posuwał zamiłowanie przewidzianych rzeczy, że podczas bitwy pod Tarifa, 18.., największą sprawiło mu przekorę, nie niebezpieczeństwo, na które z zimną narażał się odwagą, lecz to, że ta bitwa zniweczyła całodzienny plan jego postępowania.

„Rozpoczął się taniec... siedm było bajader. Zagrzmiała muzyka, i cały karawanseraj rozległ się wrzaśliwym odgłosem cymbałów, karesasów, matatasów i innych krajowych instrumentów.

„Ach! cóżtoza powabne istoty te bajadery! ubiór ich tak był ułudzający, włosy tak długie, czarne i szklniące; a potém złote blaszki, które na szkarłatnéj nitce jedwabiu przywiązują do wierzchołka głowy i długie kolczyki, srebrne i złote bransoletki, któremi ręce i nogi otaczają...; jedwabne suknie w mnogie różnobarwe pasy, ściśnięte śród kibici srebrną opaską...; wszystko to było tak eleganckie, tak wschodnie... Ułożenia ich miękkie i namiętne, właściwém tylko sobie nacechowane piętném, unosiły! zachwycały! Byłbym wówczas oddał, i teraz nawet, dwadzieścia najświetniejszych operowych baletów, za ten naiwny taniec datszeriów w ubogim karnatskim karawanseraju!

„Balet trwał już blizko od godziny, gdym dał znak bajaderom aby przestały, z wielkiém umartwieniem Duclosa, którego rozjaśnione oczy jawnie okazywały, że się raczy tańcem, huką i ponczem, jak gdyby najmniéj od ośmiu dni ich się spodziéwał...; Duclosa, który zapominając o małżeńskich wieńcach i petardach pani Duclos, najszczérszéj oddawał się radości, i miłośnym wzrokiem spoglądał na piękne daatszerie.

„Ponieważ nie źle mówiłem hindustańskim językiem, podziękowałem dobrym tym dziéwczętom, upewniając, że Rhamba, bogini tańca, przewyższyć by je nie zdołała. Poprosiłem potém aby mi co zaśpiéwały....

„Podobały im się moje pochwały, zdziwiły nawet, wychodząc z ust Europejczyka; i spytały co mają śpiéwać aby mi przyjemność sprawić. Wymieniłem im *Kamię*, którą bardzo lubiłem i słyszałem śpiéwaną w Suracie.

„Spiéwały mi więc przygody księżniczki Bidhii, marratską epopeję pełną wdzięku i świéżości.

„Północ już była gdy śpiéwy ich ucichły. Chciały zacząć inny *giez*, czyli poemat; lecz im podziękowałem, i złożywszy podług zwyczaju podarek mój na tacy, okrytéj liściami betelu i orzechami arcku, z którą piérwsza tancerka koło obchodziła, odszedłem, i wszyscy goście podobnież porozchodzili się do swoich chat lub karawanserajowych celi.

Duclos, (chociaż bez wieczerzy), położył się pod wystawą; ja rozkazałem zanieść mój palankin pod niezmierny kokos, i rozciągnąłem się w nim, z rozkoszą oddychając przenikającą wonią bujnéj wschodu roślinności....

„Zalewie zasnąłem, gdy poruszono firanki palankinu, i przebudziłem się.... Kto tam? spytałem nieco zdziwiony....

„Kobiécy głos mi odpowiedział:

„—To ja, Bidda bajader; przychodzę waszéj łaskawości tysiąc złożyć ukłonów od dziewczyny w żółtym gorseciku i wianku mongariowym,—od Daży.—Serce jéj otworzyło się dla ciebie, jak kwiat się roztwiera na blask słonecznych promieni. Przyjmiéj ten betel, który własną ręką przysposobiła. Siedzi u stóp twego palankinu, i czeka na twe rozkazy.

„Niech mnie kaci porwą, jeślim sobie przypominał tancerkę w żółtym gorseciku! Zresztą miałem ochotę spać; chciałem jutro jak najraniéj wyjechać do Madras; może ta uprzedzająca grzeczność byłaby mi przypadła do smaku wczoraj, lub nazajutrz, —lecz

wówczas całkiem mi nie przypadała. Podziękowałem Biddzie za jéj uprzejmość, namawiając aby poszła ofiarować miłośny betel memu przyjacielowi Duclos, i zjednała mu tym sposobem jeszcze jednę przyjemną niespodziéwankę.

„*Tembrane meharsa!* Bóg sam tylko jest wielki! odpowiedziała Bidda; co mi się wydało nie bardzo pomyślną wróżbą siurpryzy, jaką sprawić pragnąłem Duclosowi. I odeszła.

„Nazajutrz zbudzili nas kurlisowie. Duclos już był gotów, i mieliśmy wyjeżdżać, gdy bajadery przyszły pożegnać się z nami.

„Szukałem pomiędzy niemi... przez samę jedynie ciekawość... dziewczyny w żółtym gorseciku...: lecz jéj nie było... Spytałem o nią Biddę. Zawołała ją. Ukazała się na chwilę na progu karawanseraju. Spojrzała na mnie dumnie, z gniéwem i pogardą, położyła potém rękę na piersi, ukłoniła mi się, i znikła. Wyjechaliśmy. O sto kroków od karawanseraju uchyliłem firankę mego palankinu; a spojrzawszy ku wiosce, spostrzegłem z podziwieniem Dażę, która zdawała się płakać; gdyż obciérała oczy, a dwie towarzyszki ją pocieszały.

(Dokończenie w następnym numerze).

— MUZYKA. —

Czyż tylko śmiertelni znają najczystszą, najbardziéj upajającą ze wszystkich rozkoszy, muzykę? O nie mylcie się! Muzyka nie tylko same zachwyca światy, muzyka i niebo zachwyca.

Klopstock.

Nic bardziéj jak muzyka nie zdoła zasilić, wznieść, rozweselić umysł skołatany mnogiemi troski i zawody nędznego ziemskiego życia. Dźwięk ze wszyst-

kich materyalnych rzeczy najbardziéj duchowny, największą ma styczność z życiem wewnętrznêm, z swém niewyczerpaném źródłem cierpień i rozkoszy. Przenikając najgłębiéj do serca, odrywa myśli od widomych obrazów świata, i na tkliwych skrzydłach melodyi upojonego ducha w niewidzialne unosi sfery, z ziemi do niebios podwyższa.

Muzyka, pojęta w całej swojéj czystości i naturalności, jest czemciś niebiańskiém; wzbija ponad ziemskie cierpienia w wyższe jakoweś piękności przestworza, w krainy wiekuistéj harmonii. Znikomość i wieczność zdają się dla nas jednoczyć; ze wspomnień i nadziei czerpamy pokój i radość, odwagę i ufność do wstąpienia na nowo w cierniste szranki życia: tak wędrowiec z nowém natężeniem w dalszą puszcza się drogę, skoro strudzone jego oko postrzeże cel do którego dąży.

I któż w życiu swojém nie doświadczył uroku muzyki? Od kogóż melodya nie odpędziła złych myśli, jak niegdyś prześladowczego ducha od króla Saula. Zarówno mędrzec co się jedynie w myślach pogrąża, jak płochy młodzian co zmysłowém tylko życiem istnieje, znajdują w niéj pokarm dla duszy swojéj. Dlatego też widzimy ludzi wszelkich wieków, płci i stanu, cisnących się tłumem tam gdzie ich znęcają urocze téj niebiańskiéj sztuki dźwięki, i nieraz odchodzących ztamtąd usposobionych do wyższych myśli, szczytniejszych natchnień, szlachetniejszych uczuć.

O Muzyko! ty jesteś wszego dobrego przyjaciołką! Seraf przebaczenia ujarzmiasz, nienawiść i zemstę. Tyś rószczka Mojżeszowa, co z pustyni życia nowe źródła radości wywodzi!

BLUMENHAGEN.

Nic tak uszczęśliwiającego tchnienia na ziémskie nie rozléwa życie jak muzyka. Czarodziejskie akorda strun echo znajdują w naszéj duszy; zgodnie z ich odgłosem i mocniéj bije i uspokaja się nasze serce.

Zarliwszém staje się nabożeństwo w świątyni, gdy muzyka uczucia ożywi i wzniesie ducha prawowier-

nych; wojownik żywszém zapali się męztwem gdy zabrzmią trąby bojowe; radośniéj kosiarz bujną siecze trawę przy nieuczonym ptasząt koncercie. Każda godzina poświęcona muzyce błogosławieństwo poza sobą zostawia; objawia nam źrzódło niewinnych rozkoszy; rozprasza chmurę smutku z naszego czoła; zabójczą boleść w łagodną zamienia tęsknotę; podwyższa odwagę, i tkliwe uczucia w piersiach obudza. Wszystko co dręczy i uciska, trwoga i troski nikną przed nią, jak mgła przed zabłyskiem słonecznych promieni.

Każde uczucie przez właściwe sobie objawia się tony, a te podobneż budzą w nas uczucia. Odgłos trwogi nieci przestrach, weselne brzmienia radość wzbudzają.

Hufeland powiada: żadne zmysłowe wrażenie tak prędko, tak bezpośrednio nie działa na usposobienie, wzmocnienie i uregulowanie operacyi naszego życia, jak muzyka. „Nie bezzasadnie liczy ją do środków przedłużenia onego, gdyż Salomon już wzmiankuje: „Wesołość upiękna i przedłuża życie, smutek zatruwa je i skraca.“

Muzyka połącza w sobie wszelkie rodzaje przyjemności, ze wszystkich ponęt czerpa czarodziejską swoję potęgę, którą tém mocniéj czujemy, im mniéj możemy pojąć. Przebudza uśpione uczucia w naszém sercu, męztwo i dumę tchnie w dusze; niebiańskiém jest lekarstwem w godzinach smutku i utrapienia. Zdaje się jakoby każde uderzenie struny wywoływało uspakajającego geniusza.

Na zwiérzętach nawet postrzegamy dobroczynne jéj działanie. Wielbłądy wtedy tylko powolnie dźwigają ciężary, gdy muzyka pochód ich rozwesela. W dalekiéj starożytności, Orfeusz i Amfion same nawet dzikie zwierzęta odgłosem muzyki łagodzić i oswajać mieli.

TEATRY WARSZAWSKIE.

(*Z Gazety Warszawskiéj Nr.* 103.)

Jakiż mąż lépszy? komedya w jednym akcie, z francuzkiego pp. *Dumanoir* i *Lafargue*, tłumaczona na polskie przez *Antoniego Riedel*, przedstawiona piérwszy raz w Warszawie, na Teatrze Rozmaitości, dnia 16 kwietnia 1838 r.

Pan Chavanais, majętny i zacny człowiek, lecz nie uposażony od natury powiérzchownemi wdziękami, zaślubił ładną, młodą i powabną Ernestynę. Po kilkomiesięczném pożyciu, oddalił się od czułéj małżonki dla interesów. Powraca, i dowiaduje się, że Ernestyna, niewidoma od urodzenia, odzyskała wzrok przez szczęśliwie wykonaną operacyą. Rozpacza, iż kochająca go dotąd żona, kochać go przestanie, skoro ujrzy tak szpetną figurę, tym bardzićj, że zostawała niegdyś w przekonaniu, iż ma męża nadobnego, prześlicznego. Ernestyna domyśla się, że mąż powrócił, że coś przed nią ukrywają; widzi w ręku matki miniaturę bardzo łagodnego mężczyzny, wyrywa ją z jéj rąk i przekonana jest, że to męża portret. Wtém przybywa młody kuzyn Raoul d'Orsay, którego Ernestyna nigdy nie znała; podobieństwo zupełne z miniaturą wprawia ją w niewypowiedzianą radość, wita go i ściska jak męża. Raoul śmiały i lekkomyślny, pozwala się kochać, i wychodzi na spacer i na wizyty z Ernestyną. Tu następuje trwoga i pomięszanie w sercu p. Chavanais, jak i w sercu matki, i rozpacz młodéj wdowy, pani de Montreuil, kochanéj dotąd od młodego d'Orsay, i kochającéj go wzajemnie. Ernestyna powraca zdziwiona, że jéj mniemany mąż tyle po ulicach napotykał znajomości i do wszystkich się uśmiéchał; póżniéj coraz więcéj jest niespokojną, domyślając się jego miłości ku pani Montreuil; nakoniec oświadcza, że jest najnieszczęśliwszą, i zazdrości szczęścia pani Montreuil, która w chwili zemsty i odwetu pozwala sobie przedstawiać pana Chavanais jako swojego męża. Następuje rozwiązanie, radość Ernestyny i przekonanie, że lepszy mąż szpetny a zacny, niż ładny a płochy; a pani de Montreuil, spokojniejsza o Raoula, przyrzeka mu (po dalszym wszakże namyśle) rękę swoję i serce na zawsze.

Komedya ta podobała się dosyć. Nie będziemy tu się zastanawiać nad położeniem mniéj do prawdy podobném głównych w niéj osób; bo jakże uwierzyć, żeby po kilku miesiącach pożycia, żona, choć niewidoma, nie mogła poznać męża po głosie i wyrazie uczuć, a patrząc na młodego trzpio-

ta, i widząc jego zrazu pomieszanie, tyle była naiwną lub chciwą łudzenia, żeby się sama zwodzić nadaremnie chciała. Lecz wypada nam parę słów powiedziéć o wystawieniu téj sztuki.

Rolę Ernestyny oddała panna *Daszkiewicz* z wdziękiem, czuciem i miłą u niéj zawsze naturalnością. Rolę pana Chavanais grał pan *Karasiński*. Ubiór jego i cała powiérzchowność były wyrachowane, aby przedstawić męża szpetnego. Grał z talentem i umiał uniknąć śmiészności Pan *Jasiński*, po krótkiéj lecz gwałtownéj słabości, która lubowników sceny mocno zatrwożyła, wystąpił w roli Raoula d'Orsay. Oddał ją z żywością, lekkością i elegancyą młodego trzpiota z wyższego świata. Powszechne oklaski uwieńczyły grę jego mianowicie w scenie kiedy udaje przed Ernestyną podpiłego. Był to lekki szał musującego Cliquot albo Cremont, inaczéj się malujący, niż odurzenie pochodzące z przebrania miarki grokiem albo pączem.

Cóż powiémy o pannie *Piechowicz*, grającéj rolę pani de Montreuil? Ta uczennica szkoły dramatycznéj nie jest bez talentu. Radzibyśmy wszakże widziéć w niéj więcéj naturalności, żywości i wesołości; w dotychczasowych próbach jéj zdolności uważaliśmy, iż jakkolwiek zrozumiéć się zdaje każdą rolę, jest wszakże w czułości zbyt poważną, niemal tragiczną, w scenach lekkich i wesołych ostrą i przymuszoną, zawsze zbyt naśladującą, zbyt patetyczną. Niechętnie widać słucha dawanych jej rad, co do umiarkowania głosu i wymowy. Nie chce się przekonać, że na scenie tak mówić trzeba jak się mówi w salonie, i że wcale do dobrego tonu nie należy zbytne i nienaturalne wybijanie niektórych głosek, jakoto np. *ą* i *ę*. Niech panna Piechowicz nie zraża się temi uwagami. Gdybyśmy w niéj nie upatrywali zdolności, pokrywalibyśmy milczeniem pierwsze jéj na scenie wystąpienia; lecz przekonani jesteśmy, że jeśli zechce obrać sobie za wzór naturę, jeźli porzuci naśladowanie, stać się może z czasem dobrą aktorką. *L.*

UWIADOMIENIE.

Do numeru dzisiejszego dołącza się Śpiéwka z komedyo-opery Łucya *czyli* Pamiątka *z towarzyszeniem forte-piano. Poezya* Jana Jasińskiego, *muzyka* Józefa Damsego.

ŚPIEWKA ŁUCYI

przy Uczcie

z Ewanem

z Komedyo-Opery

ŁUCYIA

Poezya

JANA
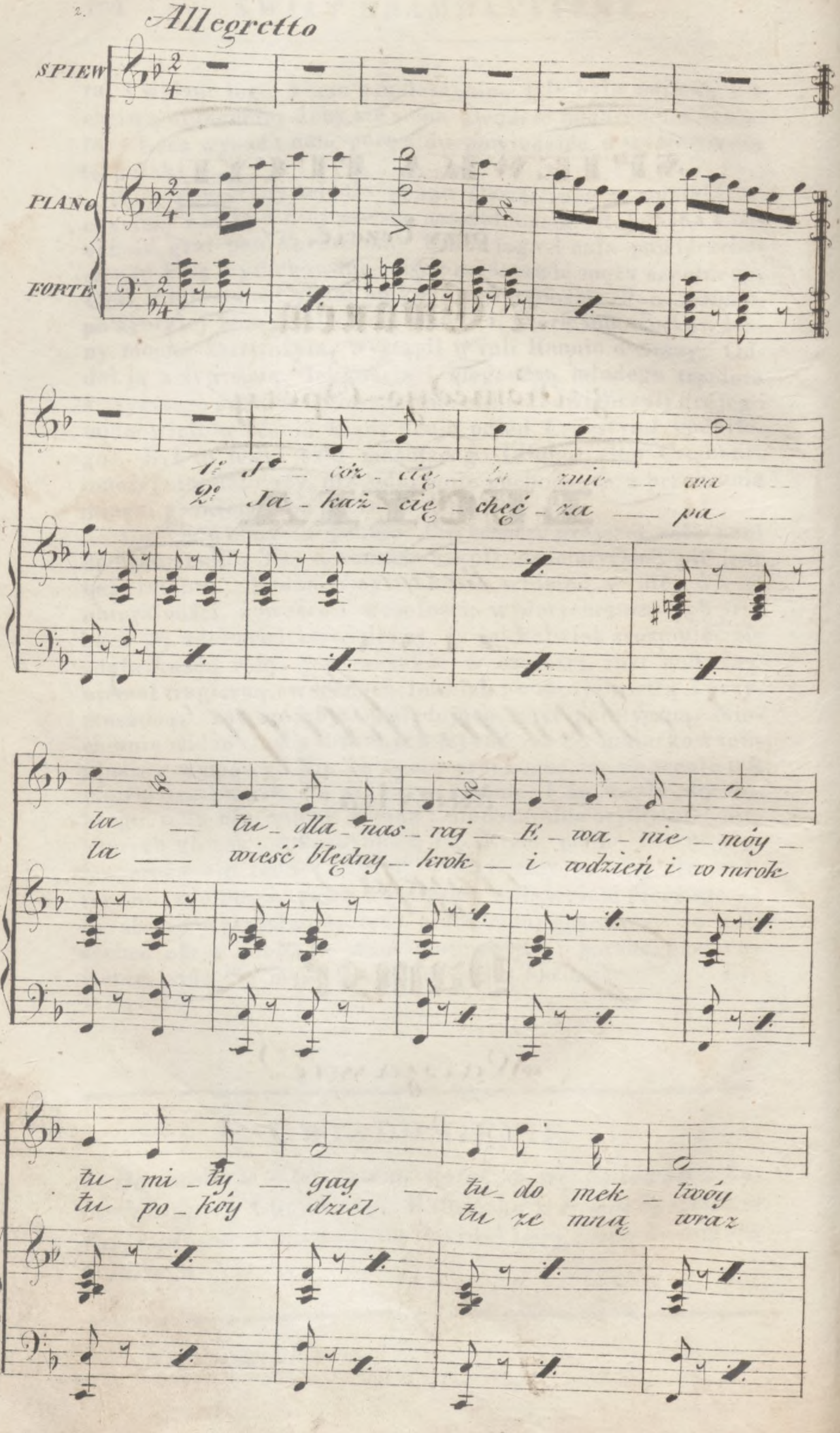
Jasińskiego
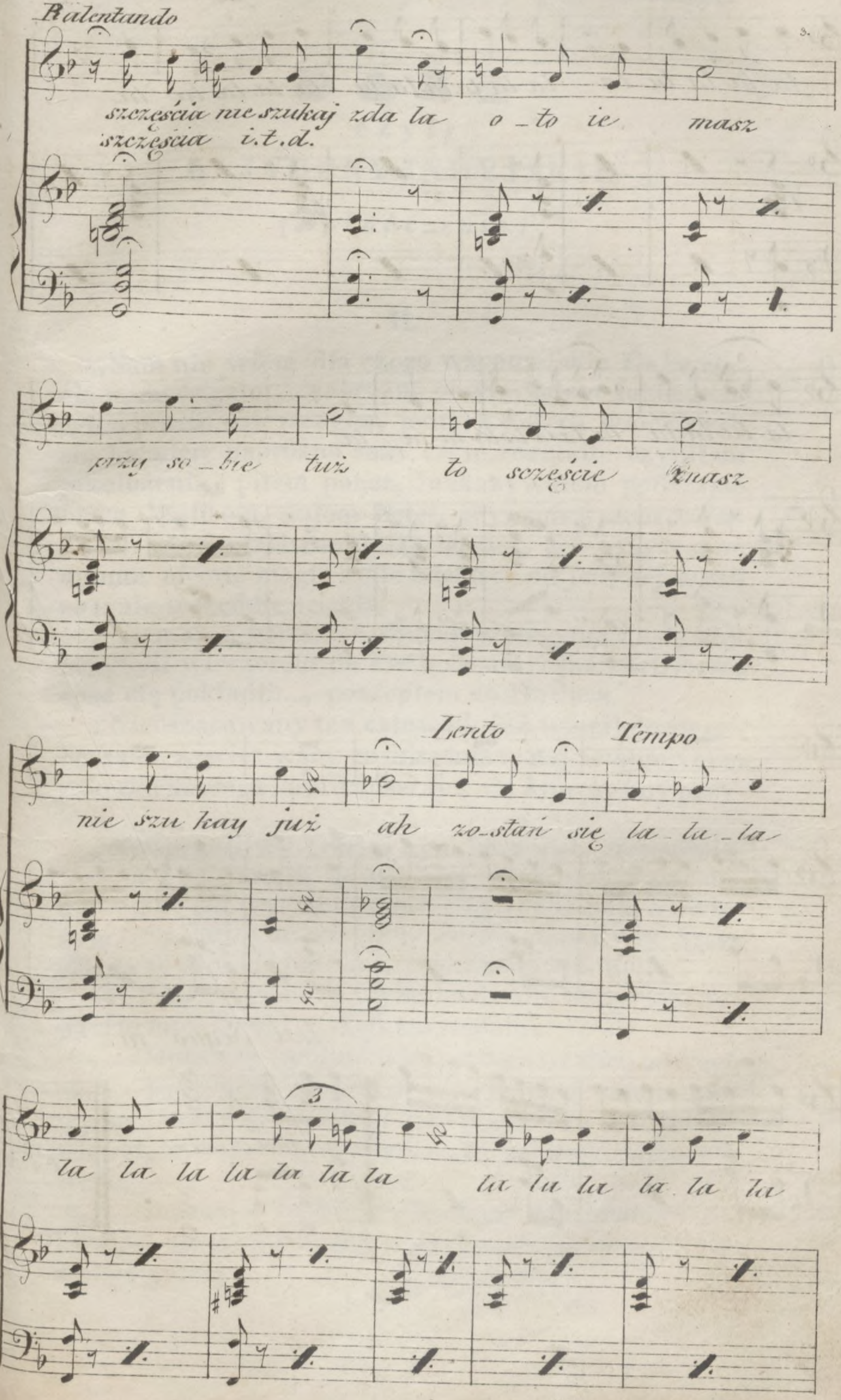
Muzyka

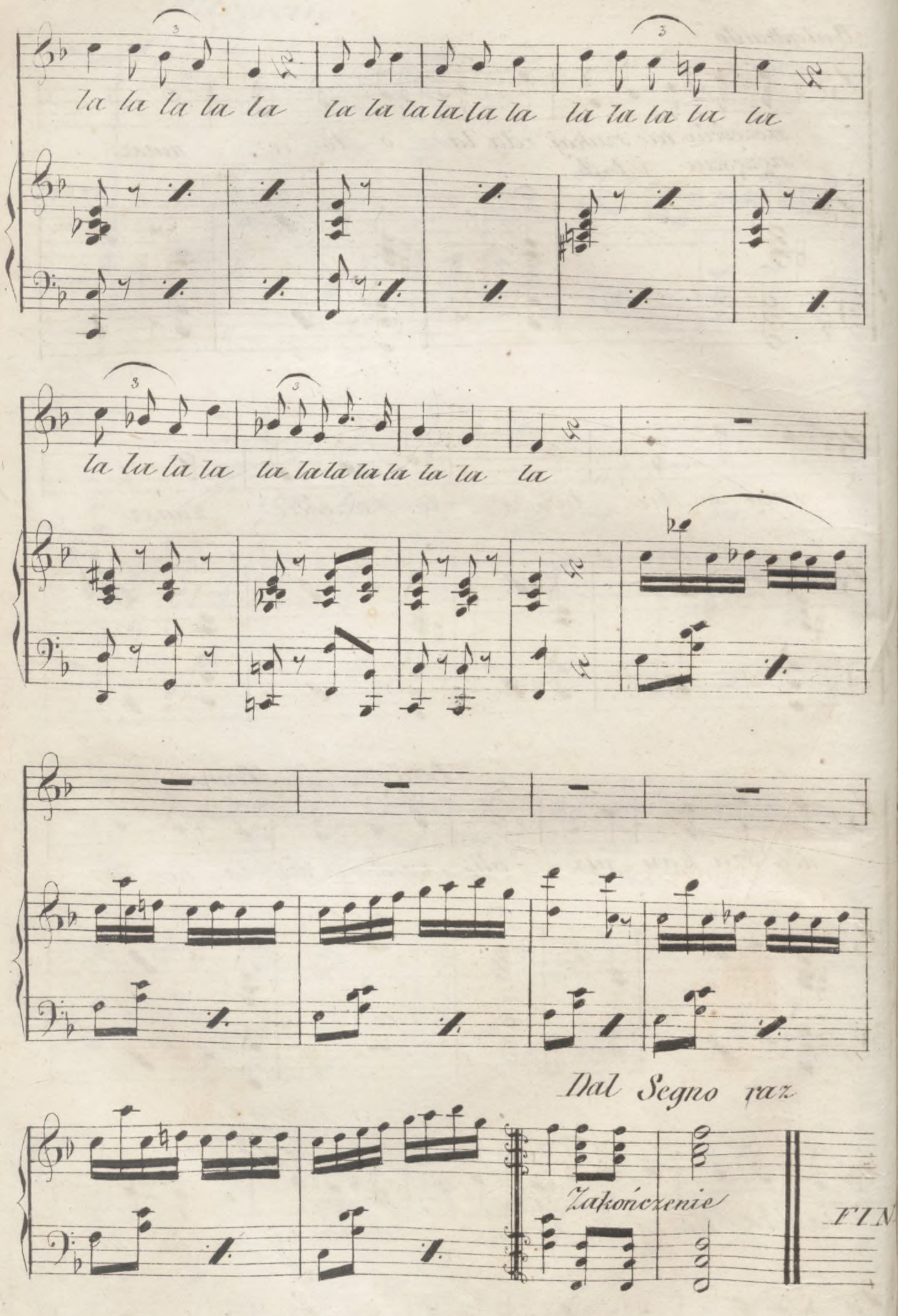
Józefa

Damse

w Warszawie.


Allegretto
SPIEW
PIANO
FORTE
1º I – cóż – cię – by – znie – wa – la – tu – dla – nas – raj – E – wa – nie – móy – tu – mi – ły – gay – tu – do mek – twóy
2º Ja – każ – cię – chęć – za – pa – la – wieść błędny – krok – i wdzień i w mrok tu po – kóy dział tu ze mną wraz


Ralentando
szczęścia nie szukaj zdala o_to ie masz
szczęścia i.t.d.
przy so_bie tuż to szczęście znasz
Lento Tempo
nie szu kay już ah zo_stań się la_la_la
la la la la la la la la la la la la la


la la la la la
la la la la la la
la la la la la
la la la la
la la la la la la la
la
Dal Segno raz
Zakończenie
FIN